

ORLĄTKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

NUMER 5. □ KATOWICE, DN. 15-GO MAJA 1927 R. □ ROK I.

ANNA LEWICKA

WALKA O GNIAZDO.



O wsi, w której stały trzy gniazda bocianie, jednego dnia nadleciała gromada boćków.

Leciały wysoko, że je ledwie ludzkie oko mogło dostrzec — kilkoro poleciało dalej,

ale czworo zatrzymało się w locie nad stodołą i chatą, gdzie stały ich gniazda — a potem zataczając szerokie kręgi, zaczęły się spuszczać niżej i coraz niżej, coraz ścieśniając koła, aż zleciały na swe gniazda.

Na jedno z gniazd spuściła się para bociania, ale to zajął już obcy przybysz. Gdy dawny gospodarz zobaczył obcego tam mieszkańca, zawołał ostro:

— Wyjdź! Nie twoje gniazdo!

— Nie opuszczę go — zawołał zuchwalec.

— Wyrzucę cię z niego — zawołał gniewnie właściciel.

— Spróbuj! Mam dziób i nogi silne i nie puszcze cię.

Surowo spojrzały na wydziercę wszystkie bociany.

Stały na dachu poważnie i z wszystkich dziobów ozwał się jednobrzmiący klekot:

— Wyrzuc go!

Poczem wszystkie bociany zaczęły niepokojnie podlatywać i krążyć — widocznie szykowały się do pomocy.

— Sam sobie dam radę — rzekł właściciel gniazda.

Bociany uspokoiły się, postawały na szczytach dachów, chaty i stodoły — a z chat powychodzili ludzie, stanęli kołem, a wśród tego otoczenia stanęli naprzeciw siebie dwaj zapaśnicy. Jeden zaciekle, wzburzony, a drugi surowy, poważny.

To się zbliżali ku sobie, to uderzali w siebie dziobami, to uderzali się skrzydłami, to zwierali się z sobą w zapamiętałej walce, to się rozdzielali, rozlatywali i znowu zwierali, aż zmęczeni musieli przestać boju, aby nowych sił nabrać.

Tak ich zaszło południe.

Stary bocian z drugiego gniazda klekotał:

— Przerwijcie walkę — zjeść coś musimy — bo i my głodni i wam sił zbraknie.

I całą gromadą polecieli na moczary tam odpoczywali i żywili się, ale wszyscy trzymali się zdaleka od nieprawego mieszkańca gniazda.

Opinia bocianów była przeciw niemu.

Siła miała rozstrzygnąć.

Po przerwie w walce, po wysiłku, po odpoczynku znowu całe bocianie towarzystwo stanęło na dachach obok gniazd i zaczęła się na nowo walka jeszcze zaciętsza, jeszcze zażartsza.

Razy padały coraz gęściej, coraz częściej rozlatywały się wydzierane pióra to z jednego to z drugiego ptaka. Walczący podlatywali coraz ciężiej, coraz mniejsze zataczali kręgi, aż wkońcu jeden z nich stoczył się z dachu.

Był to nieprawy mieszkaniec gniazda. Sprawiedliwości stało się zadość.



JULJUSZ GERMAN

O JANKU CO WALCZYŁ WE LWOWIE.

Ciąg dalszy (3).

ranek tak wysoko podskoczył, że rękami na głowie Rusina się oparł, czapę aż na brodę mu zesunął i całkiem chłopca oślepił. A Janek głową naprzód wysuniętą z całej siły żołdaka gdzieś pod żebra palnął, że ten zajęczał, za brzuch się złapał i karabin z drżących dłoni upuścił.

Podjął go Janek piorunem, kolbę do twarzy przyłożył, błysnął Rusinowi pod sam nos bagnietem.

— Poddaj się! — wrzasnął wielkim głosem — bo cię tu na miejscu zastrzelę!

Ruski żołdak podniósł obie ręce do góry, zawołał:

— A djabły wy, nie chłopcy! Poddaję się, cóż mam robić! Oślepił mnie jeden, drugi w żołądek uderzył, aż w sercu zajękło! Broń odebrali, niewolnik ja wasz nieszczęsny!

— Słuchaj! — rzekł do niego groźnie Franek. — Ani się waż czapki na brodę zesuniętej dotknąć lub z tego miejsca, gdzie stoisz ze wzniesionymi do góry rękami, choć na krok jeden się ruszyć! Inaczej zginiesz w tej chwili! Tak, jak teraz, stój nieruchomo, aż nowy rozkaz posłyszysz!

— Nie ruszę się, choćby mnie kto szpilkami kłuł, tylko miejcie nade mną litość, życia nie odbierajcie — rzekł Rusin z pokorą.

A Janek z Frankiem zdjęli z niego pas z nabojami i szablę, którą miał przy boku i cichutko, na palcach umknęli w boczną uliczkę, unosząc broń zdobytą.

Zaś Rusin stał w czapce jak w worku na głowie, wznosząc ręce w górę, stał nieruchomo jak posąg, trzęsąc się tylko czasem ze strachu. Stał godzinę, dwie. Aż przyszli inni ukraińscy żołnierze i cudaka takiego zobaczywszy, śmiechem ryknęli.

Wstydził się przyznać, że go dwóch bezbronnymałych polskich chłopców

zwyciężyło. Więc opowiadał, że go coś zaczarowało, w miejscu tak postawiło, ogłupiwszy doszczętnie. Lecz nie uwierzył mu dowódca i że broń wszystką niewiadomo jakim sposobem stracił, batów kazał mu wyliczyć trzydzieści.

Minał dzień jeden, drugi i trzeci.

Walka rozpalila się płomieniem czerwonym jak krew i krwi dużo po ulicach Lwowa płynęło. Bo na każdej ulicy, bo w każdym domu znalazł się chłopiec do Janka podobny, bo, kto tylko w piersiach polskie serce nosił, komu matka nad kołyską polskie pieśni śpiewała, młody czy stary, mały czy duży, stanął każdy w szeregu, by miasta przed nawałą ruską, obronić.

A mały Janek i kolega jego Franek w długim polatanym płaszczu, który włócił się za nim aż po ziemi, walczyli bez przerwy

Już każdy z nich miał po karabinie, dwa razy większym, niż on sam, już nauczyli się dobrze strzelać i rwali się gdzie największy wrzał bój, gdzie kule siekły gradem.

Wysłał ich pewnego ranku komendant oddziału — bo zawsze jak bracia razem się trzymali — w stronę parku Stryjskiego, żeby wybadali ostrożnie, ilu Rusinów w tych okolicach się kręci.

Szli sobie mali żołnierze pustemi, białemi od śniegu ulicami, oglądając się uważnie na wszystkie strony.

Na czapkach mieli już srebrne orzelki, a noski czerwone od zimna.

Zamiast karabinów uzbroili się na tę wyprawę tylko w rewolwery, żeby nie obarczać się ciężką bronią, niespostrzeżenie w pobliże wroga się podkraść a w razie potrzeby przed przeważającą liczbą Rusinów ująć łatwiej i wygodniej.

Słyszą nagle z poza domów strzelanie i krzyk:



— Na pomoc, kto żyw, kto Polak!

Skurczyli się, zaświeciły im się oczy, wypięli grzbiety jak podrażnione koty, kolby rewolwerowe w drobnych dłoniach ścisnęły, podbiegli z palcami na cynglach.

Pod inurem kamienicy stoi jakiś gruby pan we futrze i krzyczy w niebogłosy. Macha rękami, oczy ma przerażone a z twarzy już mu krew się łąje. Obok niego siwy robotnik z odkrytą głową. Na ziemi leży podarta kulami czapka a on ostatni widocznie nabój wystrzelił, bo dymiącą jeszcze lufę karabinu w obie ręce uchwycił, kolbą młynka zawija, broni się przed pięciu ukraińskimi żołdakami, którzy nacierają na niego okrutnie.

Ale już chwije się na nogach, już bledną mu lica z wysiłku, ręce za chwilę opadną już bezwładnie.

Franek i Janek strzelił równocześnie.

Dwa suche trzaski, krzyknęło dwóch Rusinów boleśnie.

A zanim inni zdążyli ku chłopcom się obrócić, Janek wrzasnął przeraźliwie — mistrzem był w takim wrzasku z czasów, gdy jeszcze gazety roznosił:

— Hej, otoczyć ich naokoło! Bataljon naprzód marsz! Cel, pał w same łby!

I zaczęli obaj z Frankiem strzelać prędko ze swych rewolwerów, raz za razem bez przerwy, że zahuczało, zatrzeszczało, jakby cały oddział piechoty ogień na Rusinów otworzył.

Ale ci w jednym mgnieniu oka od siwego robotnika i grubego pana odskoczyli i nie oglądając się za siebie, uciekli co siły w nogach, uciekli, aż się śnieg za nimi kurzył, aż płaszcze rozwiewały się na nich jak balony, uciekli, gubiąc czapki, rzuciwszy na bruk karabiny.

A Franek zaśpiewał pogardliwie za uciekającymi Rusinami, przyłożywszy do czerwonego nosa rozstawione szeroko palce obu rąk:

*Trzęsą ci się tydki,
nie zgub tylko spodni.
Będzie widok brzydkiej,
golce wy niegodni.
Iwanie, Iwanie,
durny ty, durneńki!
Wziąłeś setne lanie,
chłop cię zbił małeńki.*

Zaś gruby pan rzekł do Janka ścisnąc go mocno za ręce i dysząc jeszcze ze wzruszenia.

— Dziecko kochane, jakże ci mam dziękować!

Uratowałeś mi życie! Czem ci się odwdzięczę?

— E, co tam pan ma dziękować — rzekł Janek, patrząc na niego bystro. Niech pan lepiej już drugi raz grubą łaską nie grozi chłopcom, którzy gazety sprzedają i trochę przy tem krzyczą.

Pan we futrze palnął się ręką w czoło i zawołał:

— A, to ty jesteś! Powinienem był odrazu cię poznać po twoim wrzasku, który Rusinów spłoszył. Nikt drugi we Lwowie tak się drzeć nie potrafi! No, przepraszam cię, mój chłopcze, serdecznie, nie wiedziałem, że taki zuch z ciebie!

— Niech pan nie przepraszaj a lepiej niech pan pójdzie z nami bić się! — krzyknął Janek. — Ludzi mało! Ciągłe z szeregów ktoś ubywa. Ten ranny, ten chory a często niejeden polegnie.

— Prawda i to, że ludzi do obrony miasta mało — rzekł siwy robotnik, ocierając uznojone czoło. — Prawie sami starcy jak ja i, ot, takie malcy, jak ci dwaj mały bohaterzy, którzy nas uratowali.

Gruby pan we futrze zamyslił się na chwilę głęboko. Miał żonę, dzieci, dostatnio żył sobie i wygodnie, mimo że w całym Lwowie nędza i głód ludzi męczyły i nieraz matki nie miały czego do ust włożyć.

Popatrzył na obu chłopców. Niewiele starsi byli od jego własnych dzieci. Wy-nędzniałe mieli twarzyczki, chude i sine z bezsenności i trudów. Ale w oczach ich palił się ogień świętego zapału, blask nieustraszonej od wagi promieniem świecił złotym.



W SKOWRONCZYM GNIAZDKU.



kropne nieszczęście nawiedziło rodzinę skowronczą: zmija porwała najstarsze skowroniętko.

Po tygodniu rodzice uspokoili się po stracie najstarszego dzieciątka, bo taka jest ptaszków natura, że długo się nie trapią zmartwieniem. I tak jest dobrze, bo ptaki narażone są na tyle niebezpieczeństw, że gdyby już wprzód niemi się kłopotaly i długo je opłakiwały, to chybaby ani jednej chwili swobodnej nie miały w swem krótkiem życiu.

Pozostała czwórka rosła zdrowo, bawiła się, świerkała, a nauczywszy się chodzić, odbiegała często od gniazda.

Razu jednego jeden z malców grzebał w ziemi wydobywając z tamąd jakąś tłustą glistę, wtem podniósł głowę i przeraził się niezmiernie. Przed nim siedziało jakieś dziwne ogromne zwierzę.

Struchlał biedny skowronek, zatrząsł się na całym ciele, bo owo dziwne zwierzę wpatrzyło się weń takim strasznym wzrokiem, że ptaszę czuło się tym wzrokiem, jakby zaczarowane.

Nareszcie ośmielił się ruszyć, ale wteję chwili wyciągała się ku niemu z nadzwyczajną szybkością łapka miękka wprawdzie i bardzo zgrabna, ale z palców wysunęły się ostre pazury i wpiły się w kark

Biedny ptaszek pisnął tylko, a po chwili uczuł, że coś głębiej wpiło mu się

w kark, w oczach mu pociemniało, osłabł i już nigdy nie wrócił do przytomności... a rodzice nie dowiedzieli się nawet, że ich drugiego synka porwał drapieżny kot.

Już tylko troje dzieci chowało się w gnieździe rodzinnem, a były tak duże, że same już sobie szukały pożywienia i już wybierały się opuścić gniazdo rodzicielskie, bo u skowronków jest zwyczaj, że młode wczesnie opuszczają gniazda, gdyż rodzice w ciągu jednego lata wychowuje dwa, a czasem gdy wiosna wczesna, to i trzy pokolenia.

W piękne słońce rano ojciec skowronek wzleciał ponad gniazdo, a tuż za nim wyleciał i synek i obaj wzbiwszy się wysoko, zanucili pieśń.



Ojciec śpiewając, rozglądał się wkoło uważnie, czy nie grozi skąd jakie niebezpieczeństwo, ale młody tak czuł się uszczęśliwiony, tak zachwycony rozległym widokiem, który obejmował z wyso-

kości, że zapomniał o przestrobach ojca, wpatrzył się w niebo i zawisnął w powietrzu.

A tymczasem właśnie nadleciał jastrząb, ojciec zwinął się w kłębek i spadł na ziemię, ale syn nie zwrócił na to uwagi, a jastrząb wpadł na niego, pochwycił w swe szpony... i tak zginął trzeci już synek...



W kilka dni potem i dwoje najmłodszych opuściło dom rodzicielski przenosząc się na własny chleb.



KAZIUKOWE ŚWIĘTO.

Obrazek sceniczny ze śpiewami w dwóch odsłonach.

Napisała **MARJA REUTTÓWNA.**



Antek.

Nie, nie, mamy czas, możemy jeszcze chwilkę pozostać.

Stefek.

Jak się zawiniemy, to w parę minut wszystko się zrobi.

Nauczyciel.

(do Kazia)

Tobie, chłopcze, pewno pilno do domu?

Kazio.

Tak, proszę pana. Chciałbym mamę wyręczyć i pobiec do Wilna po lekarstwo dla Anki.

Proszę też pana zwolnić mnie jutro z pójścia do kościoła i na jarmark. Mama chce pójść pomodlić się u trumny Ś-go Kazimierza, a ja zostanę przy chorej siostrze.

Józio.

Jakto? ty i na jarmark nie pójdziesz. Miałeś przecie coś tam kupić.

Kazio.

Nie, nie pójdę, dziś tylko chcę iść do apteki.

Nauczyciel.

Dobrze, mój chłopcze, idź teraz do domu, ale jutro, jak mama wróci, przychodź do nas, do szkoły, na zabawę

Kazio.

(zakłopotany)

Proszę pana, pozwolić mi zostać w domu. Nie mogę, doprawdy nie mogę przyjść jutro.

Antek.

Kaziu, ty koniecznie musisz przyjść. — Cóż to, nie chcesz zabawić się z nami.

Kazio.

Doprawdy chcę, ale wierz mi, że nie mogę.

Nauczyciel.

A dlaczego, Kaziu nie możesz? Kole-dzy Cię proszą, i ja również, — przyjdź.

Kazio.

ciąg dalszy (4).

(proszącym głosem)

Proszę pana nauczyciela, niech mi pan pozwoli zostać w domu. Anka chora, ma-ma zmartwiona, rażniej im będzie, jeśli zostanę z niemi.

Nauczyciel.

Trudno, masz tak poważne powody, musimy się zgodzić, iż jutro z nami nie będziesz. Proszę cię tylko, przyjdź tu do mnie na chwilę jutro, przed szóstą. Po-możesz mi tu wykonać jedną pracę, dobrze?

Kazio.

Dobrze, proszę pana, przyjdę. (Kłania się i wychodzi. Stefek wybiega za nim).

SCENA II.

Wszyscy bez Kazia i Stefka

Nauczyciel.

A my do roboty. Zieleń przygotowana w sieni, niech starsi pójdą przyniosą ją tu. Tadzio, Wojtek i Józio okurzą ściany i obrazy, potem przystroimy naszą izbę choi-ną, widłakiem i chorąkiewkami. Za-raz przyniosę młotek i gwoździe. (wychod-zi jednemi drzwiami; Bolek, Antek i Janek — dru-giem).

SCENA III.

Tadzio, Wojtek i Józio.

(Wyjmują z szuflady ściereczki i piórka, okurza-ją ściany i obrazy, wchodzą na ławki, krzątają się po izbie).

Tadzio.

Ach tak się na to święto cieszę, jak nigdy. Tyle będzie uciechy.

Józio.

Ja się najwięcej cieszę naszym przed-stawieniem...

Wojtek.

A ja tem, że pójdziemy do Wilna.

Tadzio.

I ja również. Przedstawienia trochę się boję, a nuż coś zapomnę. Tyle gości bę-

dzie i rodzice i nauczyciele z okolicznych wsi. Nawet z Wilna przyjedzie ksiądz i p. Inspektor.

Józio.

Już wiem, co sobie na jarmarku kupię. Taką dużą wędkę, podczas wakacji będę ryby łapał. Zbiorę sobie dużo pieniędzy. Aha, jeszcze, i serce czerwone muszę kupić i takiego ptaszka...

Tadzio.

Co ci swe imię piśnie (śmieją się).

Wojtek.

A ja sobie kupię torebkę na książki, no i obwarzanków wianek. Strasznie je lubię.

SCENA IV.

Ciż i Antek, Stefek, Janek i Bolek.

(wchodzą niosąc gałęzie choiny i widłak).

Stefek.

Ja już wam mówię, że takiego kolegę, jak Kazio, to ze świecą szukać. Najpracowitszy z nas i najzdolniejszy, a czy się kiedy przechwala — wynosi?

Janek.

Nigdy, stanowczo nigdy, a natomiast każdemu rad zawsze dopomóc. Poradzić sobie nie mogłem z rachunkami, aż mi on wszystko wytłumaczył.

Antek.

A biedny on, jak zaczek z dawnych czasów.

Stefek.

Może i biedniejszy od niedźwiedzia z za-

ków. Wiecie że oni z matką i siostrą przyszli z bolszewji?

Janek.

Wcale nie z bolszewji, tylko z tego naszego nieszczęsnego Mińska, co go bolszewicy zagarnęli Polakom, a więc i matce Kazia bolszewicy wszystko zabrali. Mieli dom własny, konia i krowę, a wyszli z małemi tłumoczkami.

Tadzio.

Ojciec Kazia zginął na wojnie.

Stefek.

A wiecie, oni z głodu przymierają? Mieszkam w drugim domu, koło nich, to wiem. Mówił mi Kazio, że on i matka pracowali całą zimę, żeby zebrać trochę pieniędzy i kupić jutro na jarmarku dużą balję.

Bolek.

Balję? a im poco?

Stefek.

Bo matka Kazia pracować umie, brałaby bieliznę do prania i tem zarabiała. Tymczasem mała Anka zachorowała ciężko i wszystkie zapracowane pieniądze poszły na lekarstwo i na mleko. Dziś ostatnie cztery złote poniesie Kazio na lekarstwo dla niej.

Wojtek.

(żałamuje ręce)

Ot nieszczęście! toż oni z głodu pomrą.

c. d. n.

GOSPODARSTWO.

*Na naszym podwórku
Gospodarstwo całe,
Są gęsi, są kaczki
I kureczki białe
Z czubkami ślicznymi
Prowadzą swe dzieci,
Pilnują troskliwie
Gdy które odleci.
A gdy koguciki
Za czuby się wodzą,*

*Kwoczka zaraz gdacze
I one się godzą.
Gąski w dużej balji
Uczą małe pływać —
Kaczki razem z niemi
Chcą w wodzie przebywać.
Więc pełno tam pisku
Gęgania, kwakania —
Aż Burek się gniewa
I wszystko rozgania.*

EWELINA E.

BAJKA O KRASNOLUDKU I WIEWIÓRCIE.

Mały Jędrak powrócił z lasu zapłakany: już złapał był wiewiórkę, ale ugryzła go w palec do krwi i uciekła.

Babcia owinęła mu palec gałgankiem, dała ogromne jabłko i obiecała jeszcze opowiedzieć bardzo ciekawą historję. Więc Jędrak przestał płakać, zawołał zaraz Kazia i Dorotkę, i wszystko troje obsiedli babunię, oczekując onej historji.

A babunia mówiła:

— Wiecie, że zanim do was przyjechałam, mieszkałam u cioci Andzi. Tam chłopcy razu pewnego złapali w lesie wiewiórkę i zamknęli ją w klatce. Miała dużo miejsca, kółko do biegania, orzechy, wodę, ale jeść nie chciała, wcisnęła się w kąat klatki i siedziała nieruchoma, z nastrożeniem futerkiem i błyszczącymi oczkami, które świeciły, niby dwie iskierki.

— To nic — mówili chłopcy — do jutra się oswoi, głód zmusi ją do jadła.

I wesoło pobiegli w pole, nie troszcząc się już o wiewiórkę i nawet nie myśląc o niej. Miała przecież wszystko, czego potrzebuje, niech się wyrzeknie lasu, i tu jej dobrze będzie.

Noc nadeszła, wszyscy spać poszli, w domu pogaszone światła; ale księżyc świecił tak jasno, że w pokoju, w którym babunia sypiała, możnaby szpilkę znaleźć na podłodze.

Właśnie w tym pokoju stała na oknie klatka, a wiewiórka siedziała wciąż w kąci, nie ruszając się z miejsca.

Babcia nie mogła zasnąć i patrzyła na nią. Okno było otwarte, i nagle wydało się babuni, że ktoś przez nie wpadł do pokoju. Ktoś? — Coś malutkiego jakby ptaszek. Ale kiedy to stanęło przy klatce babunia rozpoznała doskonale maleńkiego

krasnoludka. Wiewiórka podskoczyła też ku niemu. Widać dobrze się znali, bo zaczęli obaj majstrować koło klatki, ażeby ją otworzyć. Nadaremnie, — klatka była mocna, sztucznie zamykana.

Próbowali jeszcze wygiąć druciki, ale i to nie bardzo się udało, wiewiórka nie mogła wydostać się z niewoli.

Wtedy pisała z cicha, ale tak żałośnie, że babunia już chciała otworzyć jej klatkę, gdy krasnoludek roześmiał się jakoś wesoło, podskoczył i zniknął z oczu.

A wiewiórka już nie wracała do kąci w klatce, tylko zdawała się czekać na powrót przyjaciela.

— Czyżby poszedł po pomoc? — myślała babunia — i czekała też z ciekawością.

Po dosyć długim czasie znów coś mignęło w oknie, i stanął krasnoludek. Lecz teraz szedł powoli, gramolił się widocznie po gałązkach wino i musiał być zmęczony, bo niósł coś ciężkiego. Zbliżył się do klatki i podał wiewiórcie jakieś dwa ciężarki, które przyniósł w obu maleńkich rączkach.

Potem powtórnie zaśmiał się i zniknął.

Babunia nie poruszała się wcale, bo myślała, że jeszcze wróci, potem usnęła i dopiero z rana przypomniła sobie wszystko, co widziała. Z ciekawością zbliżyła się do klatki i cóż w niej zobaczyła? — Dwie maleńkie, półnagie wiewióreczki, które matka tuliła do siebie z miłością.

Kiedy opowiedziała chłopcom, co się stało, byli tak zawstyżeni, że odnieśli wiewiórkę wraz z dziećmi do lasu, i przyrzekli babuni nigdy więcej nie wchodzić w klatkę ani zwierząt, ani ptaków.

Podług Selmy Lagerlöf.



Za najlepsze opisanie tego obrazka — przeznaczamy dwie ciekawe książki, z rycinami, o życiu zwierząt.

PIERWSZA LEKCJA.



a gniazdku wtulonem między gałęzie, siedziały sobie wróble. Były to podlotki, które dzióbkami, wydłubały otwory w gniazdku i siedziały, jak dzieci w oknie i przypatrywały się wszystkiemu, co się działo wkoło.

Gdy tak podlotki siedzą i ćwierkają wesoło, biedni rodzice zamęczają się łowiąc owady, bo to nie żart wyżywić pięcioro подроствów wiecznie głodnych i łakomych.

Właśnie nadleciała matka trzymając w dzióbku muszkę. Pięć dzióbków otworzyło się i z wszystkich, odezwało się wołanie: Mnie, mnie, mnie! Mama nie wiedziała, komu dać muszkę, aby nie skrzywdzić żadnego dziecka. Ale w tej chwili nadleciał ojciec i zaświergotał:

— Daj muszkę najmłodszemu, bo to niedołęzne jeszcze, a starsze mogą śmiało wylecieć już z gniazda i same szukać sobie pożywienia. Ja i ty namęczyliśmy się porządnie, a mimo to nie możemy tych łakomców nasycić.

— Ćwirr, ćwirr, ćwirr! — zawołały cztery starsze wróble — my się boimy,

my pospadamy, my nie możemy.

— Możecie, możecie, — odpowiedział ojciec — a jeżeli nie chcecie latać, to siedzcie w gniazdku, ale nie jeść nie dostaniecie.

I odleciał, a po chwili wrócił z tłustą gąsieniczką w dzióbku.

Dzieci na widok przysmaku rozwarły szeroko dzióbki, wyciągnęły szyjki, ale ojciec zatrzymał się w małym oddaleniu i trzępiąc skrzydełkami rzekł:

— Kto pierwszy doleci do mnie, ten dostanie gąsieniczkę.

Wówczas wszystkie wyciągnęły głowy, podniosły się, zatrzepotały skrzydełkami, ale mimo przynęty nie odważyły się opuścić gniazdku. Aż oto jedno przechyliło się zanadto i omal nie spadło. Przerażone mimowolnie rozwinęło skrzydełka, podleciało do ojra, wyrwało mu z dzióbka gąsieniczkę i zachwiała się, ale wtedy tatus podsunął się pod niego i razem powrócił do gniazda.

A odważny malec zawołał do rodzeństwa: — I my możemy latać jak rodzice.

— A przecież omal nie upadłeś.

— Ale nie upadłem, to tylko w pierwszej chwili zakreśliło mi się w głowie.

A ojciec dodał: — I wam pomogę pierwszy raz i poleciał po nową gąsieniczkę.

ROZWIĄZANIA Z № 3 „ORLĄTEK“.

1) Wiosenka, 2) słońce, 3) poduszka.

Wyniki konkursu, na najlepszą bajeczkę i wierszyk do obrazków z № 2 i 3 „Orlątek“, podamy w następnym numerze.

Ostatni termin nadsyłania opisów do obrazków upływa dnia 20 maja r. b. kto do tego czasu nie nadeśle — będzie już zapóźno żałował.

W. Zolich, Katowice (3) E. Latoszanka, Orzesze (3) E. Ksol Smiłowice (3), K. Rehanówna, Kraków (3). Z Portyńska, Chrzanów (3). J. Badurczanka, Rożdżeń (3). R. Mrozówna (2). M. Kopłówna, Mikołów (2). Bromboszczówna, Mikołów (2). J. Kłachacz, Mikołów (3). A. Kiełbaczanka, Łaziska-Dolne (1). A. Armata, Zakopane (3). M. Milerówna (3). T. Szaszyński, Wisła (3). M. Szafranówna, Wełnowiec (1). R. Nieslerówna, Bogucice (1). St. Piechaczek, Katowice (3). M. Rodziewiczówna (1). L. Siedlaczówna, Mokre (3). L. Wycisło, Mikołów (3). S. Janusz, Lipiny (3). H. Bieg, Smiłowice (3). W. Skrzypezyk, Smiłowi-

ce (3). W. Wycisło, Mikołów (3). A. Kołęda, Orzegów (1). W. Barchański, Orzegów (3). L. Pawełski, Orzegów (3). R. Frank, Katowice (3). Nie podano nazwiska, Orzesze (3). J. Karkoszówna, Mikołów (2). W. Trindt, Warszawa (1). Fr. Kieres, Katowice (3). O. Domański, Warszawa (2). A. Pękała, Mikołów (3). H. Wycisło, Górne-Łaziska (3). H. Połokówna, Mikołów (3). M. Minolówna, Orzesze (2). H. Stopińska, Lwów (3). A. Koczorowska, Lwów (3). E. Kopieczny, Król-Huta (1). J. Olczarowski, Toruń (3). P. Błaszczyk, Kołomyja (3). A. Ploneczka, Katowice (3). Z. Smoczyk, Katowice (2). H. Wierzbowiczówna, Lwów (3). E. Niedobeki, Katowice (3). P. Szafranek, Katowice (3). J. Melson, Katowice (2). A. Chrobok, Katowice (1). R. Łukaszczyk, Orzegów (1). F. Wiczorkówna (2). D. Blukówna, Lwów (3). E. Fojcikówna (3). N. Pieczarka, Łędziny (3). Kasperczykówna, Kochłowie (1). S. Siwinski, Nowy Sącz (3). N. Kodulanka, Mokre (2).

Nagrody przez losowanie przypadły: J. Olczarowski, Toruń. P. Błaszczyk, Kołomyja. St. Piechaczek, Katowice.

Pismem kieruje Komitet redakcyjny: Marja Reutt, T. Zubrzycka.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Wandy 41

Konto czekowe P. K. O. № 303-600.

Warunki prenumeraty „Orlątek“ z przesyłką pocztową: — półrocznie 1 zł. — rocznie 2 zł.

Numer pojedynczy 10 gr.